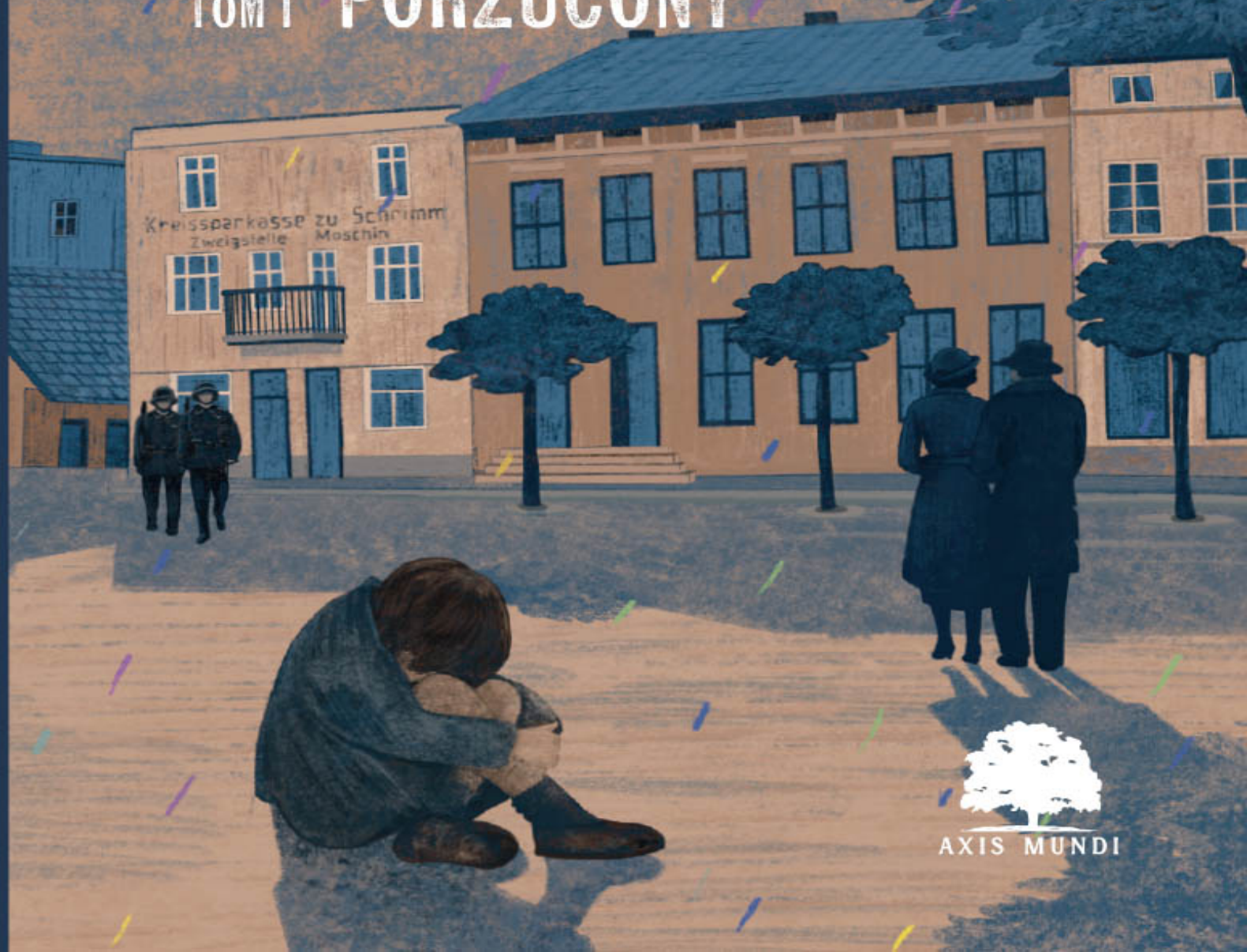


MARIA TUSZYŃSKA

OBCE GNIAZDA

TOM I PORZUCONY



MARIA TUSZYŃSKA

**OBCE
GNIAZDA**

TOM I PORZUCONY



Copyright © 2025 by Maria Tuszyńska

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Anna Piechota

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Natalia Harańczyk

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8394-967-3

EAN: 9788383949673

ISBN E-BOOK: 978-83-8394-968-0

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

– Ale cuchnie! Całe mieszkanie zasmrodził zasraniec jeden! – skrzywiła się kobieta, wchodząc do kuchni.

Dyszała z wysiłku. Z ulgą postawiła na stołku dwa duże wiklinowe kosze wypełnione przywiedłymi liśćmi warzyw, zielone żniwo dzisiejszej wyprawy na rynek. Kiedy pod koniec targowego dnia umieściła na wozie puste skrzynki, mogła już odebrać zapłatę. Wsypała wtedy do kosza wiadro kartofli, dołożyła wielką kulę kapusty podejrzaną świeżości, kilka marchwi, pietruszek, pogniecione liście sałaty, które straganiarz obrywał od główek oferowanych klientom i odrzucał do skrzynki na resztki. Wygrzebała z niej jeszcze parę zwiędłych czerwonych buraków, dwie lekko przygniłe cebule i połówki pożółkłych ogórków. Reszta odpadków nie nadawała się już do niczego, więc wyrzuciła je na kupę śmieci w kącie targowiska. Ale i tak było tego nadspodziewanie dużo. Jej czwartkowe wyprawy na bazar kończyły się zwykle o wiele skromniej. Znajomy rolnik, który raz na tydzień zajeżdżał z towarem na plac targowy, właśnie w ten czwartek sprzedał więcej warzyw niż zazwyczaj. W przypływie dobrego humoru za układanie towaru, pomoc w sprzedaży i sprzątanie straganu pozwolił jej na koniec dnia dołożyć coś do resztek. Wybrała pieczywo, kilka jaj i pół osetki masła.

Nieduże mieszkanie komunalne, do którego dotarła, mieściło się nad składem budowlanym przy Kościelnej 15 i było jednym z trzech lokali w budynku. Wegetowała tu najuboższa ludność miasta. Drzwi z zagraconej kuchni prowadziły do większego pokoju, w którym gnieździło się małżeństwo Kotarskich i ich młodsza córka. Całe jego umeblowanie stanowiły duże drewniane łóżce niemal na całą długość ściany, drewniana stylowa szafa naprzeciwko i kaflowy piec, a przy oknie ozdobionym krótką,

pomarszczoną zasłonką w kwiaty stolik i cztery krzesła. Jeszcze niedawno kąt przy łóżku wypełniała kołyska Bożenki, zabierając większość wolnej przestrzeni, ale dziewczynka szybko z niej wyrosła, więc teraz spała w nogach z rodzicami, a zbędny mebel wyniesiono do komórki i wciśnięto między szafki na ubrania.

Drugie drzwi otwierały się na znacznie mniejszy pokój z drewnianą szafą i wąską kanapą przykrytą zieloną narzutą. Obok niej przycupnął okrągły stolik i para zielonych foteli. Zniszczony blat zdobiła lniana serweta, a na niej stała wsparta na podstawce fotografia młodej jasnowłosej dziewczyny.

Kobieta zdjęła płaszcz i rzuciła go niedbale na oparcie kuchennego krzesła.

– Błążek! Bożenko! Chodźcie no tu, zobaczcie, co przyniosłam – rzuciła w stronę pokoju, wykładając na stół pachnące drożdżami pieczywo.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, zajrzała do pozostałych pomieszczeń.

– Gdzie się ten gamuła¹ podział? – mruknęła z wyraźnym niezadowoleniem. – Bożenko! Coś dobrego mam dla ciebie!

Odpowiedziała cisza. Wiedziona nagłym niepokojem wróciła na korytarz i pchnęła drzwi komórki zastawionej starymi szafkami, wielką skrzynią oraz sprzętem różnego przeznaczenia.

– Wyłaż, Maks! Nie udawaj, że cię nie ma. Cuchnie aż na schodach. Znowu się sfajdałeś!

Z głębi pomieszczenia dobiegł odgłos pociągania nosem i znów nastała cisza.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię – zapewniła kobieta.

– Nie będziecie bić? – Dotarło zza wielkiej skrzyni, w której Kotarscy trzymali stare ubrania.

– Nie, wyłaż!

Najpierw wychyliła się z kąta czarna, gęsta czupryna, a potem para wystraszonych oczu dziecka, które z uwagą badały wyraz twarzy opiekunki, szukając w niej potwierdzenia obietnicy.

– Nie ma tu Bożenki? Gdzie ona się podziała?

– Poszła z wujem do grubej Reginy.

– Nigdy jej tak nie nazywaj!

– Ale wujo mówili... – bronił się malec.

– Wujo! Wujkowi wolno, a ty masz mówić: do pani Reginy. Zapamiętasz?

– Tak, ciociu.

– No wyłaż, trzeba cię oporządzić, ruszaj się! Kto to widział, żeby taki duży chłopak robił w pory jak niemowlę. Za grosz poruty²!

– Ja nie chciałem – chlipał chłopiec, wysuwając się z kąta.

– Nie chciałem! Za każdym razem tak mówisz. Pokaż no te portki! – Kobieta szarpnęła dziecko za rękę, odciągnęła gumę grubych, szerokich spodenek i zsunęła je do kolan malca. – Całe dupsko opypłane³! Marsz do studni!

– Ciociu, nie! – bronił się chłopiec. – Nie chcę do studni!

– A coś ty myślał, że w domu będę twoje srajdy prać? Już i tak śmierdzi, że aż nos zatyka. Zmarzniesz, to będziesz na drugi raz o wychodku pamiętał. Ile razy ci mówiłam, gdzie masz się załatwiać!

– Chciałem...

– Tak, chciałeś! Pewnie znowu gapiełeś się w swoją gazetę. Na co ci ona, jak czytać nie umiesz?

– Ale obrazki... i wujek mi ją dał – broniło się dziecko.

– Obrazki! Co Błażejowi strzeliło do głowy, żeby dziecku w głowie mieszać!? Jazda na dwór!

Zdjęła z szafki blaszaną miskę i zeszła po stopniach, ciągnąc za sobą opierające się dziecko. Schody wychodziły na podwórko przypominające studnię. Od ulicy Kościelnej oddzielał je wysoki na dwa metry mur, o który wspierały się drewniane budki wychodków i kilka kubłów na śmieci. Chmara much unosiła się zwykle wokół tych przybytków, a wiadomy zapach skutecznie zniechęcał okolicznych mieszkańców do wietrzenia mieszkań. Resztę przestrzeni wypełniały tylne ściany drewnianych bud, w których handlarze sprzedawali warzywa, odzież i wszelkie starocie. Wąskie okienka umieszczone z tyłu tych pokracznych budowli patrzyły na niewielki, okrągły plac, pozbawiony zieleni. Słońce zaglądało tutaj na krótko tylko w pogodne letnie dni po południu, wychyliwszy się zza korony potężnego kasztanowca rosnącego po drugiej stronie ulicy. Na środku placu stała okrągła studnia, otoczona betonową cembrowiną, a nad nią pochylał się niewielki daszek, kryty blachą. Popołudniami zbierało się tu szemrane towarzystwo, któremu klozetowe wyziewy widać nie przeszkadzały, a pijackie okrzyki do późna zakłócały spokój wieczoru. Te akustyczne przejawy kultury masowej nie licowały z powagą i świętością pobliskiego kościoła, którego wieże widoczne stąd były doskonale.

Świątynię wzniesiono w końcu osiemnastego wieku na gruzach wcześniejszego kościoła i staraniem kolejnych proboszczów oraz wiernych unowocześniano ją przez następne sto lat. Pobożni mieszkańcy Mosiny udający się na mszę do św. Michała przechodzili na drugą stronę ulicy Kościelnej, omijając bramę wiodącą na podwórko kamienicy numer 15, nieciesząc się dobrą sławą nawet wtedy, gdy policja na dobre ukróciła pijackie ekscesy.

Kobieta energicznie zakręciła kołowrotem. Potem chwyciła rączkę wiadra pełnego wody i ostrożnie postawiła je na betonowej otoczce studni.

– Rozbieraj się! No, szybko!

Malec z ociąganiem zdejmował kolejne sztuki odzieży. Drżał z zimna i ze strachu. Uwolniwszy się od ubrań, stanął na wmontowanej w beton kratce ściekowej i czekał na najgorsze. Kobieta odlała trochę wody do miski, resztę chlupnęła na pochylone chude plecy. Dziecko krzyknęło, upadło na kolana i z trudem łapało powietrze.

– Co, zimno ci, nieboraczkę? – Twarz opiekunki wykrzywił szyderczy uśmiech. – Zaraz cię rozgrzeję!

Chwyciła brudne spodnie i zdzieliła nimi kilka razy mokre ciało chłopca.

– Auuu, boli! – zawył dziecko.

– A będziesz do wychodka, będziesz?!

I znów uderzenie zakończone krzykiem dziecka.

– Będę, ciociu!

– Pamiętaj, bo powiem wujkowi, to jeszcze większy wiks⁴ ci sprawi! Nabieraj wody ręką i myj dupsko! Co ty myślisz, że ja się mam w twoim gównie babrać? Dołożyć jeszcze rozgrzewki na zachętę, znajdo zasrana?

– Ciociuniu, nie!

Ponownie zatrzeszczał kołowrót i kolejne wiadro z wodą stanęło na betonie, a potem znowu krzyk dziecka uniósł w powietrze stado wróbli.

– Starczy! A teraz wypłucz spodnie, szybko, bo się rozchorujesz z tego zimna i umrzesz. Może lepiej by to było, bo żadnej pociechy z ciebie nie ma. Majtki też, wygniataj mocniej, jeszcze raz! Tak, teraz dobrze – dyrygowała kobieta. – Wylej brudną wodę i leć do domu! Rzęchy⁵ zostaw. Ja skończę.

Chłopiec spojrzał z wdzięcznością w twarz kobiety i potykając się o kamienie, potruchtał w stronę otwartych drzwi. Zanim ta wróciła do mieszkania, malec już znikł w komórce i zdążył przecisnąć się przez lukę między skrzynią a szafką, za którą rozłożony był gruby, wąski materac. Na

nim leżała w nieładzie zniszczona kołderka w trudnym do określenia kolorze i płaska poduszka, obleczone ciemną poszewką. Malutkie okienko dawało niewiele światła, ale dziecko doskonale orientowało się w tej przestrzeni, toteż sięgnięcie chudej rączki wykonane metodą „na pamięć” wystarczyło, aby ściągnąć z gwoździa kawałek szarej szmaty służącej za ręcznik. Kilkoma energicznym ruchami malec starł z włosów i nagiego ciała trochę wilgoci, a potem natychmiast zagrzebał się w pościeli. Nadal trząsał się z zimna. Ale tutaj nie dosięgnie go ciężka ręka ciotki ani pas wuja Błażeja, tu miał swój azyl, swoje miejsce na ziemi. I tylko tutaj czuł się bezpiecznie.

– Jeszcze się nie zawdział⁶? – w głąb komórki dotarł głos kobiety.

– Nie wiem w co.

– Nie wiem, nie wiem, ty ciągle nic nie wiesz! Co ja mam z tą fleją⁷! Twoje rzęchy zawsze na dolnej półce leżą. Pięć lat niedługo skończysz, a niczego sam nie potrafisz zrobić. Nawet się umyć. Że też mnie kiedyś opętało, żeby toto do domu brać! – gderała, grzebiąc w szafce.

Zaraz potem przez skrzynię przeleciało kilka sztuk odzieży i dziecko zaczęło się ubierać. Tymczasem od strony schodów dobiegło szuranie butów wchodzących na pięterko ludzi i kobieta pospieszyła otworzyć drzwi.

– Jesteście wreszcie! I co, dostałeś jaką robotę? – zwróciła się do mężczyzny, który wieszał już na kołku szarą, wytartą kurtkę.

Był to wysoki, lekko przygarbiony blondyn z krótko ostrzyżonymi włosami, lat powyżej czterdziestu. Miał na sobie gruby, czarny sweter i ciemne spodnie. Dziewczynka, która z nim przyszła, mogła mieć najwyżej pięć-sześć lat. Miała na sobie szary płaszczyk w drobną kratkę, czarne trzewiki i czerwoną czapeczkę, spod której wysuwały się kosmyki jasnych włosów.

– Coś ty na co dzień tak wypindraczył⁸ Bożenkę? – zdziwiła się kobieta, rozpinając guziki palta dziecka. – Do kościoła chodziliście czy co?

– A ja tam wiem, w czym ona chodzi na co dzień! Wisiało na kołku, to ją w to ubrałem. Po co ludzie mają gadać, że u nas bieda? A pracy nie ma. Było kilku chłopów ze wsi i paru tych, co pod magistratem od rana stali, zabrali oni na wozy i do swoich gospodarstw powieźli.

– A ty nie mogłeś na wieś pojechać? Korona by ci z głowy spadła?

– Korona nie korona. Nie chodzi o to, że chłopskiej roboty nie znam i nie lubię. Ja już bym wszystko wziął, bo zima idzie i węgla trza kupić. Ale tamci pierwsi byli w kolejce i dla nich najpierw praca się należała.

Mężczyzna wyjął z kieszeni kurtki zgniecioną paczkę sokołów, wygrzebał z niej ostatniego papierosa, zapalił i z lubością zaciągnął się dymem.

– Trzeba ci wcześniej z domu wychodzić. – Kobieta obserwowała wijącą się w powietrzu smużkę dymu.

– A trzeba. I tak zrobię. A teraz powiem ci nowinę, ale najpierw usiądę, bom całe miasto obszedł za robotą i giry mi w tyłek włożą.

– No?

Blondyn udał się do pokoju, usiadł na jednym z krzeseł, wyciągając długie, chude nogi, aż zatrzeszczały w stawach.

– No mówże, Błażku! – ponagliła ponownie żona, wieszając w szafie płaszczyk Bożenki.

– Wiedz, moja Sabinko – zaczął wreszcie mąż – że ta Regina jest dobrą kobietą, choć różne klejdry⁹ o niej rozpowiadają. Pomaga nam od czasu, jak straciłem robotę, i teraz o nas pamiętała. To ci powiem, że wystarała się o miejsce w ochronie dla naszych dzieci. Chłopaka swojego po mnie posłała i po to ja do niej poszedł. Będą tam nasze dzieci chodzić codziennie

i jedzenie dostaną. A ochronka stąd przecie niedaleko, jedna ulica dalej. Same mogą biegać, jak my jakie zajęcie dostaniemy.

– Prawdę ty mówisz? Ale to musi być drogo, a my groszem nie śmierdzimy...

– Ty się o to już nie martw. – Błazej spojrział z ukosa na żonę z miną człowieka, który zawsze wie lepiej. – To ochronka dla biednych dzieci, jak nasza Bożenka, i takich sierot jak Maks. Zakonnice prowadzą. Dzieci tam do południa będą miały opiekę. Za darmo wszystko będzie. I jeszcze do szkoły przygotowują, jak podrosną. Czytania i pisanie będą uczyć. Trzeba tam iść jutro z papierami, że roboty nie mamy i bieda u nas.

– To ty lepszą sprawę załatwił, niż byś pracę dostał! A to mi nowina! – ucieszyła się Sabina, siadając naprzeciw męża. – Skąd Regina o ochronce wiedziała?

– Jej kuzynka u zakonnic gotuje i ona powiedziała, że jedna rodzina wyjeżdża niedługo i miejsca się zwolnią.

– Tak? – Sabina poczerwieniała z przejęcia. – Od kiedy?

– Słyszałem, że od grudnia, może stycznia, nie wiem dokładnie. Ale trzeba tam teraz iść, zanim się rozejdzie, że będą wolne miejsca i zanim inni zgłoszą na nie swoje dzieci. Chętnych na pewno będzie dużo. Może ty tam rano pójdziesz, masz lepsze gadanie i lepiej niż ja umiesz załatwiać sprawy.

– A pewnie, że pójde! – Ucieszyła się z pochwały. – Tylko jak mamy Maksa do ludzi wysłać, jak on w portki robi?

– Co, znowu?

– Znowu. Przy studni go myć musiałam. Może tak zapamięta, gdzie trzeba się załatwiać.

– A dobrze, może zapamięta. Ale nie trzeba o tym mówić w przytułku, bo go nie wezmą. Ani o tym, że tak dziecko myjesz i że łanie od nas

dostaje. Jeszcze z tego jaka bieda i poruta będzie, bo on przecie jak sierota przez obcych ludzi jest chowany. Co z rynku przyniosłaś?

– Cały kosz zielonego i drugi kartofli.

– To dobry dzień dziś miałaś. Kartofle? Nie pyry? Od kiedy ty tak po niemiecku gadasz? A ze mnie się śmiałaś, jak jakie miejscowe słowo użyłam.

– A mało tu Niemców na ulicy i na rynku? Już swojej mowy człowiek zapomina. A i ty mnie po polsku nauczyłeś, to się teraz nie dziw. Sam po poznańsku zaciągasz, jakbyś tu się urodził i wychował. Zaraz repety z zaklepką¹⁰ upitraszę, a jeszcze na plyndze¹¹ pyrów starczy. Tylko teraz to trochę chleba zjemy, bo mi już kiszki marsza grają, a i ty pewnie głodny.

– To i chleb masz!

– Nie tylko, zaraz zobaczysz. Bożenko, siadaj przy stole, mama ci coś dobrego przyniosła. Ręce masz czyste?

Nie minęło kilka minut, a na stole znów pojawił się spory bochenek dobrze wypieczonego chleba, masło zawinięte w szary papier, kubki z parującą kawą zbożową z mlekiem, nóż i deska do krojenia. Przed dziewczynką matka położyła bułkę.

– O, szneka z glancem¹²! – Zdziwił się mąż. – Święto jakie czy co?

– A święto, bo jedzenie mamy jak od święta. Schowałam w kuchni jeszcze jedną dla Doroci, bo ona przecie naszą żywicielką jest, jedyna z naszej rodziny pracę na stałe ma i musi się najeść, żeby sił jej starczyło. A robotę ma nielekką. No, jedz na zdrowie i żebyś duża urosła.

– Taaaka duża! – Bożenka wyciągnęła w górę rączki i zaraz zajęła się zlizywaniem słodkiego lukru z bułki.

– A nieładnie – zganił ją ojciec. – Jedz po kolei. Mama ci jeszcze sznytkę¹³ masłem posmaruje. A co tam, jak to mówią: jak bał, to bał, całe jajo wal!

Chwilę posilali się w milczeniu.

– Maksa nie wołasz? – Przypomniął sobie Błażej.

– Później mu coś dam. Niech trochę zgłodnieje, to może o sraczu będzie pamiętać. Nie zasłużył na takie księżę jedzenie. Chleb z cukrem wystarczy.

– Kawy mu też nalej.

– A co ty masz takie miękkie serce dla tego znajdy? Wody niech się napije!

– Ja miękkie serce? A kto przyniósł zabiedzonego smarkacza do domu?

– A co miałam robić, jak matka nam go na próg podrzuciła jak psiaka jakiegoś? A wcześniej to mu jeść nie dawała, że przez ręce leciał, taki był słaby. No to wzięłam, żeby nie umarł, toż to stworzenie Boże i w dodatku z rodziny. Stasia kuzynką daleką przecie jest i bejmów¹⁴ trochę w becik zawinęła za wychowanie, jeszcze więcej obiecała dać.

– Obiecała! I na tym się skończyło. Suka nie wyrzuci swojego szczeniaka, a ta zostawiła dziecko przed czyimiś drzwiami i poszła w cug.

– Nie w cug, ino do roboty bieda ją zagnała. Nie zabiła dzieciaka, nie wyrzuciła jak inne na śmietnik, tylko oddała na wychowanie. Za to ją i cenić trzeba.

– Żadna to zasługa – nie zgodził się mąż. – Jej zaszran obowiązek o swego dzieciaka dbać. Zabiedziła go na amen, wyrodna matka!

Sabina milczała, nie chcąc się narazić na gniew męża.

– Może by było lepiej – ciągnął swoje Błażej – gdyby chłopak umarł, bo u nas bieda okrutna, a jeszcze i jego trzeba żywić. Dorota tyle zarabia, co kot napłakał, ledwie na prąd starczy i trochę do jedzenia dokłada. A dla mnie ani dla ciebie nie ma w mieście roboty, ot co!

– A kopcisz! – Sabina rzuciła na męża oskarżycielskie spojrzenie.

– Nie przychodź mi tak głupio¹⁵! – skarcił żonę Błażej, chowając jeszcze ciepłego peta do kieszeni. – Ja tu jestem chłop i ćmik¹⁶ mi się należy! Przysporzyłaś gębę do karmienia, to teraz zamilcz!

Brwi Sabiny ściągnęły się gniewnie, ale nic nie odrzekła.

Nazajutrz Błażej wstał pierwszy i posiliwszy się chlebem z masłem, wyszedł na swoją codzienną trasę pod magistrat, gdzie zbierali się mężczyźni poszukujący pracy. Wkrótce Dorota udała się do cegielni, gdzie z grupą kilku kobiet i mężczyzn na specjalne zamówienia bogatych odbiorców wyrabiała cegły nietypowego kształtu i rozmiaru. Sposób produkcji cegieł metodą „na piasek” polegał na tym, że należało ręcznie wypełnić gęstą masą ceramiczną drewniane, wzmocnione blachą formy, zebrać z każdej nadmiar ceglanej paćki, wygładzić powierzchnię tworzywa i gotowe półprodukty ułożyć do wstępnego wyschnięcia na wysypanym piaskiem placu. Była to praca niewymagająca wielkich kwalifikacji, ale zbyt ciężka dla kobiety, tym bardziej szesnastolatki, lecz z braku innej, trzeba się było cieszyć, że i taka jest i że każdego miesiąca dziewczyna przynosi do domu ciężko zarobione pieniądze. Po godzinach Dorota była tak zmęczona noszeniem cegieł, że wróciwszy do domu, odpoczywała zwykle w swoim pokoju i rzadko wychodziła „na miasto”.

Tego poranka Sabina wyszła ostatnia. Ochronka mieściła się w niewielkim, parterowym budynku z ceramicznej cegły u zbiegu Kościelnej i Szosy Poznańskiej. Budynek wzniesiony został w końcu dziewiętnastego wieku jako szpital św. Stanisława. Początkowo oprócz placówki medycznej pełnił też rolę przytułku dla chorych i starców, teraz zaś urządzono w nim ochronkę dla małych dzieci.

Dzięki staraniom miejscowego proboszcza i przybyłych z Nysy sióstr elżbietanek rudere wyremontowano i przystosowano dla najmłodszych. Przy pomocy magistratu i lokalnych mieszkańców siostry wyposażyły w meble dwie sale do zajęć z dziećmi, sypialenkę dla najmłodszych, jadalnię i kuchnię. Mogły naraz przyjąć nawet czterdzieścioro dzieci w wieku od czterech do siedmiu lat i zapewnić im opiekę wraz z wyżywieniem. Fundusze na tę działalność wygospodarowało miasto, a i miejscowi notable mieli okazję do dobroczynności. Zakonnice, a już najbardziej siostra Weronika, która w ochronce pełniła rolę kierowniczkę, nie ustawały w staraniach, by dzieciom niczego nie brakowało, toteż do kasy ochronki wpływały spore kwoty pieniędzy od szczodrych ludzi, a niewielki magazyn przy kuchni wypełniał się produktami rolnymi od okolicznych chłopów. Początkowo przyjęto dwadzieścioro ubogich dzieci z Mosiny. Byli to mali bezdomni, sieroty wychowywane przez dalszą rodzinę, półsieroty, dzieci bezrobotnych czy chorych rodziców. Potrzeby jednak okazały się większe, bo choć miasto prężnie się rozwijało, światowy kryzys lat trzydziestych spowodował i tu ograniczenie produkcji wielu zakładów pracy, a nawet ich likwidację. Masowe zwolnienia pozbawiły dochodu setki robotniczych rodzin. Wkrótce wszystkie sale ochronki zapełniły się ponad miarę, a z Nysy wezwano kolejne trzy siostry do prowadzenia zajęć z dziećmi. Zakonna kadra sierocińca zamieszkała na plebani przy ulicy Kościelnej, gdzie miejscowy proboszcz udostępnił siostronom kilka wolnych pomieszczeń.

Zajęcia w ochronce rozpoczynały się o ósmej wspólną modlitwą w jadalni, po czym dzieci spożywały śniadanie w absolutnej ciszy. Nie wolno było mlaskać, siorbać i jeść z otwartymi ustami. Talerze i kubki po mleku należało poskładać w jednym miejscu na stole, a starsi wychowankowie, którzy sprawowali w danym dniu dyżur, znosili naczynia

do kuchni. Następnie dzieci wstawiały, dziękowały głośno za posiłek i udawały się do sal na zajęcia. Zaczynały się one zwykle czytaniem fragmentów Pisma Świętego, katechizmu oraz kilkunastu książek dla dzieci, w które wyposażona była minibiblioteczka ochronki. Potem siostry organizowały zabawy dla najmłodszych, starsze rysowały, lepiły z gliny, układały budowle z klocków i gryzmoły w kajetach pierwsze litery.

Obiad zwyczajem nabytym po Niemcach, którzy licznie zamieszkiwali Mosinę do zakończenia I wojny światowej, podawany był wcześniej i składał się z zupy i drugiego dania, a przed powrotem do domu dziatwa dostawała jeszcze podwieczorek. Dla większości ubogich dzieci, które dotąd jadły niewiele i nieregularnie, spożywanie posiłków, jeszcze tak obfitych i smacznych, było oczywistym atutem pobytu w ochronce. Dodatkowo po poobiedniej godzinie snu dla maluchów wszyscy wychowankowie wychodzili na dwór, gdzie grali w piłkę, berka, w klasy, a najmłodsze dzieciaki bawiły się w różne gry pod okiem sióstr. Gdy padało, podopieczni spędzali czas w salach. Wychodzili do domu po piętnastej.

Mosińska ochronka była więc prawdziwym rajem dla dzieci biedaków i wstawiennictwo Reginy okazało się bezcenne. Sabina w godzinę załatwiła wszystkie sprawy urzędowe i wróciła do domu z potwierdzonym na piśmie przyjęciem Bożenki i Maksa do ochronki. Wprawdzie miały zacząć tam chodzić dopiero po Nowym Roku, ale i tak to był sukces. W przypiływie dobrego humoru Sabina posmarowała masłem kilka kromek chleba i zaprosiła do wspólnego stołu przybłędę z komórki za kuchnią. Przyszłość wydała się wszystkim bardziej kolorowa.

Kolejny tydzień nie przyniósł rodzinie Kotarskich niczego dobrego. Skończyły się zapasy z ostatniej udanej wyprawy Sabiny na targ, a rezultatem następnej było zaledwie kilka kartofli i trochę przypsutych warzyw. Także Błażej nie znalazł płatnego zajęcia, mimo że wstawał przed świtem i jako pierwszy docierał na plac przy magistracie.

– Nie idę dziś za robotą – oświadczył w piątek z samego rana, gdy jedli odgrzewane kartofle. – I tak niczego nie wyczekam, tylko czas mitręzę.

– A co ty chcesz takiego robić, że czasu ci mało? – spytała żona, upiwszy z kubka odrobinę czarnej kawy. Nie smakowała jej gorzka, a cukru nie mieli już nawet dla Bożenki.

– Pójdę do Łukasza. Już dawniej obiecał mi dać parę desek na wózek do węgla. Dzieciaki takie jak Maks zbierają węgiel przy torach, a on się leni i za darmo nasz chleb je.

– A pewnie! Pięć lat skończy lada dzień, to i pracować może. Tylko czy on da radę taki wózek z węglem uciągnąć?

– Taki zrobię, że radę da. A może Łukasz jakiejś pomocy potrzebuje, to ja na to chętny, przecie na stolarce i maszynach się znam.

– No to idź, sprawdź! – Sabina pokiwała głową ni to z nadzieją, ni z powątpiewaniem. – On pomocnika nie potrzebuje. Ale pójść możesz, lepiej coś robić niż nic. Ja dziś do Reginy się wybieram. Ma jakieś stare ubrania dla mnie i w praniu jej pomogę, to może chociaż na chleb zarobię. Jeszcze trochę i dzieci do ochronki pójdą. Tam się najedzą, wszystkim nam będzie lżej.

– Pewnie, ale to dopiero po świętach. Trzeba czekać. A ty dzisiaj wyślij Maksa i Bożenkę do rzeźnika. Niech dwie kanki na kiszonkę wezmą. Żeby tak jakichś skrawków dodał, to by było dobrze.

– Mam parę groszy, mogę Bożence dać na ścinki. Maks, chodź no tutaj! Ubierz palto, pójdziesz do rzeźnika. Tylko nie porozlewaj kiszonki po

drodze i Bożenki się słuchaj!

Przywołany chłopiec kiwnął skwapliwie głową i wrócił do komórki po ciepłą odzież. Poranki były już chłodne. Wyprawa przez miasto z Makssem wcale się Bożence nie podobała.

– Nie chcę z tym brudasem iść! – Broniła się. – Niech sam pójdzie.

– Nie da rady dwóch kanek unieść, a my nie mamy nic do jedzenia na jutro i na niedzielę – tłumaczyła matka, przykucnąwszy przed córeczką.

– To może iść drugi raz. Jestem mała, nie mam tyle siły. – Bożenka złożyła ręce w geście protestu.

– Dasz radę – zapewniła ze śmiechem Sabina. – Jesteś większa i silniejsza od Maksa. Dużo dzieci w twoim wieku pomaga rodzicom, to i ty możesz. Przecież kochasz mamę i tatę?

– No dobra, pójdę – zgodziła się wreszcie dziewczynka, nadymając wargi.

– Kochane z ciebie dziecko. – Sabina pogłaskała córkę po pucołowatej buzi. – Coś ci za to kupię, jak trochę bejmów zarobię.

– Melki¹⁷! Kup, kup melki! – prosiła z ożywieniem dziewczynka, tuląc się do piersi matki. – Ale tobie nie dam, żebyś nie myślał!

Chłopak, do którego skierowane były te słowa, stał już w progu kuchni, zapinając guziki przydługiego płaszczyka. Bożenka odwróciła do niego twarz i zezując na matkę, czy nie widzi, wysunęła język, a potem wybiegła ze śmiechem do pokoju, żeby się ubrać.

– Słyszałeś? Masz pilnować Bożenki! – nakazywała chłopcu Sabina. – Poproś rzeźnika, żeby kiszonki nie żałował. Dwie kanki przyniesiecie. I ścinków, ile się da. Tylko nie zjedz po drodze, bo ja Bożenkę zapytam. Jak co ubędzie, to ci taki wiks sprawię, że długo popamiętasz. Do wychodka zajdź po drodze, żeby poruty nie było. No idź już, Bożenka cię dogoni.

– Dobrze, ciociu – odrzekł malec posłusznie i zawrócił w stronę wyjścia.

Droga do rzeźnika dla pięcioletnich dzieci była sporym wyzwaniem, ale chłopiec znał ją doskonale. Od kilku miesięcy pokonywał tę trasę raz lub dwa razy na tydzień, zaopatrując rodzinę w tłusty wywar po gotowaniu salcesonów i kaszanek. Nazywano go, nie wiedzieć czemu, kiszonką. Wywar nie był kwaśny, ale pożywny i smaczny. Pływały w nim rozmoczone skwarki słoniny, rozgotowana kasza, a nawet skrawki mięsa. Kotarscy jedli go z ziemniakami. Danie to stanowiło podstawę wyżywienia rodziny, dlatego dzieci doskonale wiedziały, jak ważne zadanie mają do spełnienia. Należało tylko dotrzeć do rozległego rynku i przeciąć go w poprzek, następnie przejść kilkoma uliczkami do tej części miasta, którą miejscowi nazywali Budzyniem, ponieważ sąsiadowała z nią wieś o tej właśnie nazwie. Dość powiedzieć, że od budzyńskiego dworu, stojącego na skraju wsi, do pierwszych domów w mieście było zaledwie kilkaset metrów, a przestrzeń ta już dawno została zabudowana niskimi ceglakami. I choć Budzyń formalnie nadal był wsią, granica między nim a Mosiną przestała praktycznie istnieć¹⁸. W ten sposób sklep starego rzeźnika, który znajdował się na końcu miasta, nie zmieniając swej lokalizacji, znalazł się z czasem niejako w Budzynie. I właśnie tam kierowały się dzieci tego chłodnego wrześniowego poranka.

Bożenka ociągała się, przystając co chwilę przed witrynami magazynów, a gdy dzieci dotarły do sklepu z zabawkami, jedno i drugie nie potrafiło się oprzeć, żeby nie popatrzeć na szmaciane lalki ubrane w barwne sukienki, drewniane samochodziki i kolejki, mięciutkie pluszowe misie i stosy klocków różnego kształtu i koloru.

– Zobacz, jaki śliczny pamperek¹⁹ w niebieskiej sukience! To królowa – stwierdziła Bożenka ze znanstwem.

– Skąd wiesz?

– Jakiś ty głupi! Ma koronę!

– To królowe mają korony?

– Pewnie. I mieszkają w pałacach. Widziałeś pałac?

– Nie...

– A ja widziałam! – Bożenka spojrzała z wyższością na chłopca. – Jest tam, za parkiem. – Dziewczynka ręką wskazała wylot ulicy. – Chcesz zobaczyć? – dodała.

– Nie chcę do parku, nam trzeba tu, po kiszonkę... – Maks skręcił w przecznicę, przy której szyld rzeźniczego sklepu był już widoczny.

– E tam! W tym pałacu straszy, wiesz?

– Nie gadaj! Zmyślasz!

– A właśnie, że nie! Tata mówił. I kazał tam nie chodzić.

– A chodziłaś?

– Byłam z mamą i tatą za pracą. Tata mówi, że to dwór, a nie pałac. Ale wiesz? Powiem ci coś w sekrecie...

– No?

Dziewczynka nachyliła się do ucha Maksa i szepnęła tajemniczo:

– To jest pałac, naprawdę. – Pokiwała głową z poważną miną. – Widziałam go. Tam mieszkają złe duchy. Mają długie, białe szaty.

– Zmyślasz...

– Nie wierzysz? To chodź ze mną, zobaczysz!

– Ale po kiszonkę... – Przypomniiał już mniej pewnie chłopczyk.

– Zdamy. Chodź!

Nie oglądając się na Maksa, dziewczynka pobiegła ulicą i za chwilę mijała ostatnie domy z czerwonej cegły.

– Nie idź tam! Ciocia mnie zbije! – zawołał za nią przerażony.

Ale Bożenka już tego nie słyszała i nie miała zamiaru zawracać. Obejrzała się tylko, by sprawdzić, czy Maks idzie za nią, a potem skręciła w alejkę zamkniętą ścianą zieleni. Przed betonowym murkiem, który otaczał park, zatrzymała się wreszcie i oświadczyła z przejęciem:

– Pałac!

– Nie idź tam! – zawołał powtórnie Maks i nogi mu się ugięły ze strachu.

Bożenka zaśmiała się i podeszła do bramki z metalowych prętów. Sprawdziwszy, że jest zamknięta, wspięła się po wyszczerbionym murze na szczyt ogrodu, a potem skoczyła bez wahania, znikając z oczu chłopca. Maks stał chwilę, nie wiedząc, co począć. A jak złe duchy coś zrobią Bożence, to on do domu nie będzie mógł wrócić. Wujek go zbije i wygoni na zawsze. Nieraz mu o tym przypominał. Przejęty strachem pobiegł w stronę muru.

Szli parkową alejką, rozglądając się ciekawie. Po obu stronach rosły potężne drzewa, jakich nigdy dotąd chłopiec nie widział. Przez ich korony świetlistymi smugami przekradały się promienie słońca, wydobywając z cienia okwiecone krzewy przedziwnych kształtów i kolorów. Park wydał się dzieciom tak piękny, jak ten z bajki, którą im kiedyś czytała gruba Regina. Na pewno był zaczarowany i mieszkały w nim leśne skrzaty.

Nagle coś zaszeleściło w krzakach i na ścieżkę tuż przed dziećmi śmignęło rude zwierzątko ze sterczącymi uszami i długim, puszystym ogonem. Spostrzegłszy intruzów, błyskawicznie zanurkowało w zieleni po drugiej stronie dróżki. Dzieci stały chwilę jak zamurowane.

– Widziałeś? – Bożence zabrakło na chwilę głosu z emocji. – To był leśny duszek, ale nie trzeba się takich bać, one są dobre.

– Wracamy...

– Oj, ty znowu swoje!

– Ale ciocia, ona mnie znowu pasem...

– Dojdziemy tylko do bramy. Obiecuję. To niedaleko. Stamtąd popatrzymy na pałac. Nie pożałujesz – przekonywała dziewczynka. – Ja idę, a ty jak chcesz! – dodała z determinacją.

Alejka skręciła w prawo i tuż za zakrętem otworzyła się na małą polanę, której centrum stanowił okrągły klomb. Stąd było już widać bramę. Otwarta na oścież jaśniała zapowiedzią wolnej przestrzeni. Dzieci pobiegły w jej stronę. Ostrożnie wychyliły się zza słupka i chłoneły rozciągający się przed nimi widok. Zobaczyły okrągły plac otoczony nisko strzyżonymi krzewami. Pośrodku połyskiwała mała sadzawka obudowana murkiem, a nad nią wytryskała tysiącami kropel fontanna wody. Za placem wznosiły się ściany sporej budowli, częściowo zasłoniętej drzewami.

– Widzisz? – szepnęła przejęta Bożenka. – Pałac.

Był to piętrowy budynek z szeregiem wysokich, prostokątnych okien zdobionych półokrągłymi nadokiennikami, wydłużony parterową przybudówką zwieńczoną tarasem. Środkową część fasady przecinał ganek podparty obłymi kolumnkami, na który prowadziły schody z czerwonej cegły. Nad nim znajdował się balkon zamknięty murowaną balustradą. Przed pałacem i na placu nie było nikogo. Wtem z bocznej alejki dobiegło głośnie szczekanie psów i ostry męski głos karcący zwierzęta. Dzieci rzuciły się do ucieczki. Biegły najszybciej, jak potrafiły, i zatrzymały się dopiero na alei, którą wcześniej dotarły do parku. Dyszały ze zmęczenia i emocji.

– Ale nam się udało! – wysapał Maks. – Mogły nas pogryźć.

– Ale pałac zobaczyliśmy! – Tryumfowała dziewczynka.

– Tak, ale jak nas ten pan poznał, to powie cioci, zobaczysz!

– Przecież on nas dobrze nie widział. Nie musimy nic mamie mówić.

– Zawsze na mnie skarżysz!

– Teraz nie powiem. Jak bum cyk cyk! – zapewniła trochę urażona dziewczynka. – To będzie nasza tajemnica.

– Wracajmy! – ponaglił Maks.

Kiedy dzieci dotarły do sklepu rzeźniczego, zobaczyły masarza w długim za kolana sklepowym kitlu, który omiatał schodki.

– Coś późno dzisiaj – przywitał dzieci i podreptał za ladę. – Siostrzyczkę przyprowadziłeś?

– Nie jestem jego siostrą. – Bożenka wydeła z niechęcią usta.

– Nie? A kim?

– Jestem mamy i taty, a on... – Palec dziewczynki wylądował na palcie Maksa. – ...On jest znajdą.

Mężczyzna za ladą spojrzał na pochyłą twarz chłopca, na której wykwił rumieniec, a potem długo i uważnie przyglądał się dziewczynce.

– Oj, nieładnie tak mówić, ciężko nie mieć rodziców.

– Bo mama tak mówi, i że darmozjad. A tu pieniędzy na ścinki.

– Nie darmozjad, bo kiszonkę nosi. Jadłyście śniadanie?

– Kartofle...

– Kartofle...?

Stary skrył się za drzwiami i po chwili pokazał się znowu z pajdami chleba obłożonymi plastrami salcesonu.

– Jedzcie na zdrowie, a ja w tym czasie przygotuję towar. I nie nazywaj brata znajdą, bo to brzydko. Pamiętaj!

– Wolałabym karmelki – skrzywiła się Bożenka.

Tymczasem Maks już zdążył oderwać łapczywie zębami spory kawałek tłustego salcesonu, jakby rzadko miał okazję próbować takich smakołyków.

Objuczone pełnymi kankami kiszonki i pakunkami obrzynków dzieci wróciły do domu. Bożenka dochowała tajemnicy i tego dnia lanie ominęło

Maksa. Także Sabina zarobiła na chleb, a Dorota kupiła mąkę i jajka, aby usmażyć placki z sodą. Widmo głodu znowu udało się oddalić.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

1 gamuła (pozn.) – gamoń

2 poruta (pozn.) – wstyd

3 opypłać (pozn.) – ubrudzić

4 wiks (pozn.) – bicie, lanie

5 rzęchy (pozn.) – szmaty

6 zawdziać (pozn.) – ubrać coś na siebie

7 fleja (pozn.) – flejtuch, osoba niedbająca o swój wygląd i higienę

8 wypindraczyć (pozn.) – wystroić, ładnie się ubrać

9 klejdry (pozn.) – plotki

10 repeta z zaklepką (pozn.) – gęsta zupa z zasmażką stanowiąca jednodaniowy obiad

11 plyndze (pozn.) – placki ziemniaczane

12 szneka z glancem (pozn.) – drożdżówka z lukrem

13 sznytka (pozn.) – kromka chleba

14 bejmy (pozn.) – pieniądze

15 Nie przychodź mi tak głupio! (pozn.) – Nie docinaj mi!

16 ćmik (pozn.) – papieros

17 melki (pozn.) – cukierki

18 W maju 1934 roku nastąpiło przyłączenie wsi i dworu w Budzynie oraz pobliskiego Pożegowa do Mosiny.

19 pamperek (pozn.) – ludzik, lalka